



LIZ FIELDING

Wielokrotna laureatka nagrody RITA.

15 000 000 sprzedanych książek!

*Napisz,
że mnie kochasz*

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Liz Fielding

**Napisz, że mnie
kochasz**

Tłumaczenie:

Małgorzata Borkowska

Adela Drakowska

Lista życzeń

PROLOG

- Juliet? Czas na nas.

Juliet Howard oderwała wzrok od zestawienia, nad którym ślęczała od paru godzin, i uśmiechnęła się do stojącego w drzwiach mężczyzny. Paul Graham miał na sobie typowy biurowy strój: ciemny garnitur, białą koszulę, krawat w dyskretne paski, lecz prezentował się zgoła nieprzeciętnie. Surowe wyraziste rysy urodziwej twarzy nadawały mu wygląd aktora lub modela. Prawdziwa ozdoba biura, myślała, patrząc, jak zamyka drzwi i kieruje się w jej stronę.

W dodatku należał wyłącznie do niej. A w każdym razie tak będzie z końcem miesiąca, gdy minie termin praktyki, na którą został oddelegowany z banku. Wtedy przestanie odnosić się do nich zasada zakazująca związków między pracownikami tej samej firmy. Paul dostosował się do ustalonych przez Juliet reguł, czasem tylko, zresztą w bardzo uroczy sposób, okazywał niecierpliwość.

- Mówiłam ci, żebyś nie robił tego w biurze - skarciła go, gdy pochylił się nad biurkiem, żeby ją pocałować.

Paul z poważną miną położył dłoń na sercu.

- Przysięgam, że nie zrobię tego nigdy więcej.

Prawdę mówiąc, nie takiej reakcji oczekiwała, ale powiedziała tylko:

- Postaraj się dotrzymać słowa.

Niezrażony wyciągnął rękę i przesunął kciukiem po jej wargach.

- Rozmazałem ci szminkę. Lepiej ją popraw, zanim wejdiesz do sali obrad. Naszemu wysoko urodzonemu prezesowi raczej nie przypadnie do gustu niechlujny makijaż.

Prezes firmy, któremu właśnie nadano tytuł szlachecki, jawnie głosił, że kobiety nadają się wyłącznie do wychowywania dzieci i innych nużących zajęć, którymi stworzeni do wyższych celów mężczyźni nie powinni zawracać sobie głowy. Nigdy nie ukrywał niechęci do Juliet. Jednak była cennym pracownikiem, toteż jak dotąd nie znalazł pretekstu, aby się jej pozbyć. Ze złośliwą satysfakcją pomyślała, że gdy przedstawi swój plan usprawnienia transportu, będzie musiał widywać ją znacznie częściej.

- W przyszłym tygodniu będzie miał poważniejsze problemy niż mój makijaż. - Uśmiechnęła się.

Ostatnio często miała powody do uśmiechu. Kiedy siedem lat temu, ściskając w garści dyplom z zarządzania, przysłała do firmy Markham i Ridley,

jej największą ambicją było zasiąść w radzie nadzorczej tego konserwatywnego i zdominowanego przez mężczyzn przedsiębiorstwa. Firma zajmowała się wydobywaniem surowców, głównie kruszyw, a stare przepisy, obowiązujące w przemyśle wydobywczym, praktycznie zapewniały jej monopol w niektórych regionach kraju.

Przed podjęciem pracy Juliet zrobiła rozeznanie w działalności przedsiębiorstwa, sprawdziła to i owo, po czym dała sobie dziesięć lat na realizację własnych planów.

Trzy miesiące temu John Ridley poprosił ją o przygotowanie długoterminowego planu obniżenia kosztów i podniesienia wydajności. Była to wyraźna zapowiedź, że Juliet może liczyć na awans. Teraz jej projekt był już właściwie gotowy. W poniedziałek zamierzała przedstawić go zarządowi.

Dostanie stanowisko dyrektora, dzięki czemu udowodni, że jest tyle samo warta co wszyscy mężczyźni razem wzięci. Miała też Paula, najbardziej troskliwego, czarującego i uprzejmego partnera, jakiego można sobie wymarzyć.

- Pójdę przypudrować nos. Pamiętaj, żeby wziąć dla mnie kieliszek szampana.

- Tak jest!

Poprawiła fryzurę, przejechała szminką po wargach, obciągnęła żakiet i znów się uśmiechnęła. Przebyła długą drogę, wykonała mnóstwo ciężkiej pracy, ale opłaciło się. Wreszcie dotarła do celu.

Sala konferencyjna była już pełna i w pierwszej chwili Juliet nie dostrzegła Paula. Wzięła z tacy kieliszek szampana i wcisnęła się do środka. Najwyraźniej przyszła ostatnia. Trochę zbyt długo oddawała się marzeniom.

Nie miała czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bowiem dyrektor naczelny firmy poprosił o uwagę, po czym wzniosł toast na cześć prezesa. Juliet upiła łyk szampana, czekając na nieuniknione przemówienie.

Mowa była znacznie krótsza, niż się spodziewała. Ale jak się okazało, dla niej i tak o wiele za długa.

- Oczywiście jestem szczęśliwy z powodu zaszczytu, jakiego dostąpiłem, jednak największą przyjemność sprawi mi ogłoszenie czegoś, co planuję od chwili, gdy trzydzieści lat temu zostałem jego chrzestnym ojcem. - Wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu stojącego obok mężczyzny. Juliet wychyliła się, żeby zobaczyć, kto to taki.

Paul.

Pełną wyczekiwania ciszę zakłócił tylko nieznaczny szelest, gdy dwie lub trzy osoby odwróciły się, żeby spojrzeć na Juliet.

Paul był synem chrzestnym Markhama? Czemu nigdy o tym nie wspomniał?

- Wszyscy znacie Paula Grahama - ciągnął prezes. - Dołączył do nas kilka miesięcy temu i doskonale wykorzystał ten czas, przyglądając się, jak pracujemy. Za chwilę powie nam, jak możemy to robić lepiej. Od tej chwili zostaje członkiem zarządu, gdzie będzie odpowiedzialny za wdrożenie swoich planów dotyczących usprawnienia organizacji i ograniczenia kosztów transportu. Za rok nasza firma będzie pracować sprawniej i bardziej efektywnie. Ruszymy całą parą, zostawiając konkurencję daleko w tyle.

Pauza, która nastąpiła po tym oświadczeniu, trwała trochę za długo. Tym razem jednak nikt nie patrzył na Juliet. Zresztą i tak by tego nie spostrzegła. Widziała tylko Paula.

Jego plan? Całą parą? To było żywcem zerżnięte z jej raportu...

Co tu się, do diabła, dzieje? Czemu Paul tam stoi? To ona powinna być na jego miejscu! Dlaczego w ogóle na nią nie patrzy? To jakiś żart...

- Przyłączcie się, proszę, do toastu, który chcę wzniesić na cześć Paula i lepszej przyszłości.

To jednak nie był żart. Podnosząc kieliszek, jego lordowska mość spojrzał prosto na nią. Na jego twarzy pojawił się pełen wyższości uśmiech.

Nagle uświadomiła sobie, że Paul także uśmiecha się pogardliwie.

Kiedy zrobiła krok do przodu, ludzie zaczęli się rozstępować. Po raz pierwszy w życiu Juliet Howard, najbardziej na świecie zdyscyplinowana osoba, która zaplanowała swoje życie w najdrobniejszych szczegółach, zrobiła coś, nie myśląc o konsekwencjach.

Jej umysł zaprzętały wspomnienia chwil, które spędziła w towarzystwie Paula. Myślała o tym, jak zabiegał o nią, jak zadbał o to, żeby poczuła się bezpieczna i kochana. Nawet nie musiał specjalnie się starać. Po prostu zawsze był przy niej. Od pierwszego dnia, gdy ją poproszono, żeby pozwoliła mu przyglądać się swojej pracy.

Aż do judaszowego pocałunku, którym ją obdarzył kilka minut temu, po to tylko, żeby się spóźniła.

Był tylko jeden wyraz, jakim można go było określić. Rzuciła to słowo, po czym chlusnęła mu w twarz zawartością kieliszka.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Wstawaj, Jools.

Juliet Howard słyszała głos matki, ale nawet nie drgnęła. Pakowanie - lub raczej przyglądanie się, jak matka pakuje jej rzeczy - i jazda samochodem do rodzinnego Melchesteru zupełnie pozbawiły ją energii. Wstanie z łóżka było ponad jej siły. Nie mogła się nawet zdobyć na wysiłek, żeby otworzyć oczy.

Dźwięk odsuwanych zasłon oznaczał, że pokój załało światło słoneczne. Ukryła twarz w poduszce, próbując zignorować stukot wieszaków, kiedy matka wyciągała z szafy ubrania.

- Przygotowałam listę zakupów. W czasie weekendu nie miałam czasu ich zrobić, więc w domu nic nie ma. Może tobie jest wszystko jedno, czy coś jesz, czy nie, ale ja nie będę chodzić głodna. Rusz się wreszcie. W drodze do pracy podrzucę cię do miasta. Możesz zarejestrować się w tej agencji koło dworca autobusowego. Tylko najpierw odbierz dla mnie książkę z księgarni na Prior's Lane. Przypomnij Maggie Crawford, że wieczorem gramy w bingo.

Jej energia była nie do zniesienia.

- Może powinnaś pójść z nami - dodała.

- Na bingo?

- No, nareszcie coś cię ruszyło... - zakpiła mama.

Juliet przekręciła się na łóżku. Matka nie mówiła poważnie. Rzuciła uwagę o bingo, licząc na jej reakcję.

- Mamo, spóźnisz się do pracy.

- Na pewno, jeśli się wreszcie nie ruszysz. Idź wziąć prysznic, a ja zaparzę kawę.

- Nie... - Jednak mama nie zamierzała wdawać się w dyskusję. Nigdy zresztą nie miała czasu na bezprzedmiotowe gadanie. Nie mogła pozwolić na to, aby pracodawca zarzucił jej brak sumiennosci tylko dlatego, że była samotną matką. Nigdy nie użalała się nad sobą. W każdym razie nie dała tego po sobie poznać, bo kto wie, ile łez wylała nocami, gdy nikt jej nie widział.

Czując do siebie obrzydzenie, Juliet spuściła nogi z łóżka. Właściwie zdała się na prawo ciężenia. W ten sam sposób zwlekała się z łóżka w czasach, gdy o pójściu do szkoły myślała jak o kolejnym dniu piekielnej męki.

Słońce, które wpadało do pokoju, pogłębiało jej przygnębienie, a zapach kawy dolatujący z kuchni przyprawiał ją o mdłości. Jednak musiała wziąć się w garść. Przecież matka poświęciła wszystko, żeby

zapewnić jej lepsze życie. Nawet teraz pomagała jej się pozbierać. Wzięła wolne, żeby przyjechać do Londynu, i zajęła się wynajęciem mieszkania.

Nawet jako nastolatka Juliet potrafiła znaleźć w sobie dość siły, żeby stawić czoło problemom. A przecież wtedy każdy dzień, w którym udało jej się nie zwrócić na siebie uwagi znęcających się nad nią koleżanek, traktowała jak miłą niespodziankę...

Tym razem to nie siła, lecz poczucie winy zagnało ją pod prysznic, kazało włożyć leżące na łóżku ubrania i zejść do samochodu. Słońce świeciło, ale był dopiero marzec i wiał zimny, przenikliwy wiatr.

- Nie zapomnij odebrać książki. I kup na targu pęczek żonkili - poleciała mama, gdy Juliet wysiadła z auta.

Najpierw poszła do agencji pośrednictwa pracy. Wypełniła kwestionariusz i patrzyła, jak kobieta za biurkiem go czyta.

- Nie odpowiedziała pani na pytanie, czemu odeszła z ostatniego miejsca pracy. Miała pani jakieś kłopoty z szefem?

- Nie, to ja byłam szefem. Ale wie pani, jak to bywa z mężczyznami. Zawsze chcą mieć nad wszystkim kontrolę. - Miała nadzieję, że to utnie kolejne pytania.

- No tak... - Kobieta rzuciła jej współczujące spojrzenie. - Uczciwie mówiąc, ma pani trochę za wysokie kwalifikacje. Potrzebujemy niższych rangą pracowników szczebla kierowniczego. Powinna się pani zgłosić do jakiejś agencji w Londynie.

- Szukam czegoś tymczasowego, póki nie zdecyduję, co zamierzam dalej - odparła.

- Co cię podkusiło, żeby kupić ten śmietnik, Mac?

Gregor McLeod z satysfakcją oglądał najnowszy nabytek. To pewne, że dni świetności składu budowlanego i warsztatu remontowego już minęły. Takie małe firmy rzemieślnicze nie były w stanie konkurować z wielkimi magazynami dla majsterkowiczów, które wyrosły na obrzeżu miasta.

- Można powiedzieć, Neil, że kierowały mną sentymentalne pobudki. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, pracowałem tutaj. Nie trwało to zbyt długo, ale nigdy nie zapomniałem tego doświadczenia.

Jego zastępca rozejrzał się dokoła.

- Nie wiedziałem o tym.

- Bo kiedy ja wypruwałem z siebie żyły dla Marty'ego Duke'a, ty byłeś na studiach. Dźwigałem ciężary, które urągały wszelkim przepisom BHP.

- W takim razie nie są to chyba najmiłsze wspomnienia.

- Nie było tak źle. W biurze pracowała pierwszorzędną dziewczyna. Długie, błyszczące włosy, nogi aż do nieba i głęboki głos, aksamitny jak szwajcarska czekolada. Warto było przychodzić do pracy choćby dla jej uśmiechu.

Neil pokręcił głową z dezaprobatą.

- Co z tobą? Raz już się sparzyłeś. Powinieneś chyba dmuchać na zimne.

- No cóż, w tym przypadku dmuchałem. Dziewczyna nie potrafiła napisać poprawnie żadnego słowa, ale Duke wypłacał jej premię, bo faceci lubili u niej składać zamówienia.

- Ciekawe, czemu spodziewam się smutnego zakończenia tej historyjki.

- Pewno dlatego, że mnie znasz. - Greg wzruszył ramionami. - Kiedy zobaczyłem, jak Duke wciska łapy tam, gdzie nie powinien, nie próbowałem nawet tłumaczyć, że molestowanie seksualne pracowników jest niedopuszczalne, tylko po prostu przywaliłem mu. Zwolnił mnie z roboty, zanim jeszcze podniósł się z podłogi.

- Mam nadzieję, że bogini o ciepłym głosie okazała ci wdzięczność.

- Nie było to zbyt widoczne, pewno dlatego, że odgrywała rolę litościwej samarytanki wobec szefa. Najwyraźniej dobrze się postarała, bo wkrótce zaproponował jej pełny etat.

- Osobistej sekretarki?

- Nie. Żony. Najwidoczniej źle odczytałem sygnały. Co prawda nie miała nic przeciwko gorącym pieścizotom za biurową szafą, ale jej celem nie było zdobycie dziewiętnastoletniego robotnika bez perspektyw.

Neil uśmiechnął się szeroko, rozglądając się po zaniedbanym terenie.

- Cóż, popełniła błąd.

- Tak myślisz? Nie mogłem jej niczego zaproponować. Prawdę mówiąc, wyświadczyła mi ogromną przysługę. Dzięki niej zrozumiałem, że gdy do wyboru są silne mięśnie i pieniądze, kobiety zawsze wybiorą pieniądze. Dowiedziałem się też, że nie jestem stworzony do tego, aby pracować dla jakiegoś szefa.

- Zatem kupiłeś plac, który wcale ci nie jest potrzebny, i ocaliłeś Duke'a przed bankructwem, żeby okazać wdzięczność jego żonie... Hm, właściwie to jej zawdzięczasz sukces...

- Sukces zawdzięczam ciężkiej pracy, umiejętności robienia interesów i w dużej mierze

szczęściu. Kupiłem ten plac z wielu powodów, a najprzyjemniejszy okazał się fakt, że Duke musiał mi spojrzeć w oczy i zwracać się do mnie „panie McLeod”.

- Jego żona przy tym była?

- Wciąż jest jego sekretarką. Wyobrażasz sobie?

- Trudno to nazwać oszałamiającą karierą. Miała ci coś do powiedzenia?

- Niewiele. - Skrzywił się niechętnie. - Dopiero gdy odprowadzała mnie do drzwi, szepnęła: „Zadzwoń...”.

Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, pomyślała Juliet, wychodząc z agencji. Można skreślić jedną pozycję z listy, uznała, kierując się do sklepu. Im szybciej zrobi zakupy, tym prędzej będzie mogła wrócić do domu.

Na dnie koszyka leżał zeszyt. Większość kobiet robi listy zakupów na zużytych kopertach, ale nie jej matka. Zawsze utrzymywała, że dzięki zapiskom w zeszycie ma wolną głowę i może myśleć o poważniejszych sprawach. Poza tym lubiła wykreślać kolejne pozycje, szczególnie te, które zaczynały się od słowa „zapłacić...”.

Swój zwyczaj wpoila córce, zachęcając ją do zapisywania nie tylko spraw bieżących, ale też

planów na przyszły rok, a nawet kolejne dziesięciolecie.

Tłumaczyła też, że nie należy zapisywać wyłącznie wielkich zamierzeń, bo łatwo się zniechęcić. Cały sekret polegał na wpisywaniu absolutnie każdego drobiazgu, nawet jeśli chodziło o kupienie bochenka chleba. Dzięki temu odnoszone sukcesy będą bardziej widoczne.

Juliet sięgnęła do koszyka i ze zdziwieniem spostrzegła, że to jej stary zeszyt. Miała chyba dwanaście lub trzynaście lat, gdy dostała go na Gwiazdkę. Doskonale pamiętała, jak bardzo ucieszyła się, widząc błyszczącą czarną okładkę i jaskrawoczerwone kółka. Do tej pory jej zeszyty zawsze ozdabiałały wizerunki słodkich kotków lub bohaterów kreskówek. Poczowała się bardzo dorośle, toteż starannie podpisała nowy kołonoatnik:

PLANY NA ŻYCIE. JULIET HOWARD

W tej chwili etykieta stała się prawie nieczytelna, połyskliwa okładka wytarła się od upychania zeszytu na dnie szkolnej torby, gdzie nie zagrażały mu wścibskie spojrzenia złośliwych koleżanek.

Westchnęła ciężko, wspominając tęsknie samotną dziewczynkę, jaką wówczas była. Ktoś ją potracił, mrużąc pod nosem gniewne uwagi

o zawaładrogach, uciekła więc do pobliskiego baru i zamówiła kawę, na którą wcale nie miała ochoty.

Czego tamto dziecko najbardziej pragnęło?

Pamiętała swoje wielkie plany, które zresztą nigdy nie uległy zmianie. Studia na dobrym uniwersytecie, dyplom z wyróżnieniem i odniesienie równie wielkiego sukcesu, jak pewna kobieta, która kiedyś otworzyła u nich w mieście filię sklepu z produktami do aromaterapii.

Przerzucała kartki, siedząc nad stygnącą kawą. Sumiennie przystąpiła do realizacji planów. Piątka z matematyki, terminowo oddawane prace, utrzymanie porządku w pokoju. Potem przyszła kolej na najskrytsze marzenia: obcięcie włosów tak krótko, żeby mogła je nastroszyć za pomocą żelu, jak to robiły najbardziej atrakcyjne dziewczyny w szkole. Niesamowicie drogie buty sportowe, by upodobnić się do koleżanek. A także wyjazd do Disneylandu pod Paryżem. Czy faktycznie chciała tam wtedy pojechać, czy też umieściła to na liście, bo wydawało jej się, że wszyscy koledzy już tam byli? Nawet tacy jak ona, z niepełnych rodzin.

Jakikolwiek miała powód, to marzenie nigdy nie zostało odhaczone. Jak zresztą wiele innych.

Właściwie mogłaby spakować walizkę i wybrać się tam teraz. Tyle że byłaby to dość żałosna

wyprawa. Do Disneylandu należało jechać z dziećmi, z którymi można by dzielić radość zwiedzania tej magicznej krainy.

W zeszycie zaplanowała, że będzie miała czworo. Wtedy jeszcze nie sprecyzowała, kto miałby zostać ich ojcem.

To była ostatnia pozycja na jej liście. Niedługo potem porzuciła swój zeszyt. Tak to bywa z planami. Wciąż ulegają zmianom, a życie bardziej przypomina grę planszową, w której raz poruszasz się do przodu, a raz musisz się cofnąć o kilka pól...

Odwróciła kartkę. Lista zakupów nie została zapisana w zeszycie, lecz na żółtej samoprzylepnej karteczce. Najwidoczniej w ten niezbyt subtelny sposób mama chciała dać jej do zrozumienia, że życie nie kończy się tylko dlatego, że kilka pozycji z rubryki „osiągalne” trzeba przesunąć do rubryki „całkiem niemożliwe”.

Należało po prostu sporządzić nową listę, napisać nowy plan pięcioletni. A jeśli chodzi o te nieosiągalne marzenia...

- Wszystko po kolei, mamo - mruknęła pod nosem, wrzucając zeszyt do koszyka.

Lista zakupów nie zawierała nic szczególnego, czego nie mogłaby dostać w sklepie na rogu. Pozostawało odebranie książki. No i żonkile, które

mama bez wątpienia wybrała ze względu na ich przerażliwie radosny kolor.

Wybrnęła z sytuacji, kupując kilka białych narcyzów na straganie na rogu Prior's Lane, po czym ruszyła w kierunku księgarni.

Im prędezej to załatwię, tym szybciej będę w domu, powtórzyła w myślach. I co wtedy? Prawdopodobnie będzie siedzieć, wpatrując się w ścianę i użalając się nad sobą. Czy mama kiedykolwiek pozwoliła sobie na tak żalosne zachowanie? Więc dlaczego z nią postępowała tak delikatnie? Czemu nie kazała jej wziąć się w garść?

Chociaż nie... Rzuciła okiem na zeszyt leżący na dnie koszyka. Przecież matka dawała jej to do zrozumienia, sugerując, że powinna sporządzić nową listę spraw do załatwienia. Pierwszy punkt nie przysparzał problemów: przestać użalać się nad sobą.

Nie, to niedobry pomysł. Punkty planu musiały zawierać konkretne sprawy, które można było odhaczyć jako załatwione. A więc jeszcze raz. Punkt pierwszy: jak najszybciej znaleźć pracę.

Wtedy na pewno nie starczy jej czasu na narzekanie.

Niestety, nikt o zdrowych zmysłach nie będzie chciał zatrudnić osoby, która byłemu pracodawcy

i jego protegowanemu popsuła uroczysty dzień, omal topiąc ich w szampanie.

Czuła ulgę, układając w myśli listę różnych okropnych rzeczy, które chętnie zrobiłaby lordowi Markhamowi i jego żaloszemu chrześniakowi. Niestety, tych planów nigdy nie będzie w stanie zrealizować. Musiała wymyślić coś, co zdoła osiągnąć. Dopiero wtedy poczuje się lepiej.

Przerwała rozmyślenia i rozejrzała się wokół, niepewna, gdzie się znajduje. Prior's Lane była krętą uliczką, która prowadziła od rzeki na katedralne wzgórze. Właściwie nie była to jedna ulica, lecz sieć wąskich zaułków i alejek, które dawno temu tworzyły serce średniowiecznego miasta, całkiem różne od nijakiego, nowoczesnego centrum, gdzie pełno było identycznych sklepów, jakie można teraz spotkać w każdym mieście.

Kiedyś robiło się zakupy w uroczych małych sklepikach i szykownych butikach, a powietrze przesycone było aromatem świeżo palonej kawy. Obecnie przeważały sklepy prowadzone przez fundacje dobroczynne, co świadczyło o tym, że dostatek w tej okolicy należał do przeszłości. Niektóre sklepiki jeszcze jakoś się trzymały, ale dramatycznie potrzebowały świeżej farby.

Poczuła irytację, widząc takie marnotrawstwo. O czym myślą radni miejscy? Bywała w miastach, gdzie takie miejsca stały się największą turystyczną atrakcją. Zyski, jakie dzięki nim osiągnano, przyczyniały się do rozwoju całej okolicy.

Być może wywołał to ten gniewny nastrój, ale kiedy doleciał do niej zapach świeżego pieczywa, nagle poczuła głód. W małej piekarni kupiła ciepłą jeszcze bagietkę, a potem kawałek sera i kilka oliwek.

Kiedy wchodziła do księgarni, nad drzwiami zabrzęczał dzwonek. Tutaj również nic się nie zmieniło. Żadnych foteli, kawy, przekąsek... Nic, co w nowoczesnym handlu książkami zachęca klientów, żeby zostali jak najdłużej.

Udało jej się znaleźć książkę Cornwella, którą mama umieściła na liście. Zawsze lubiła kryminały, w których główna bohaterka była silną kobietą.

W sklepie nie było nikogo, komu mogłaby zapłacić. Okrążyła półki, które dzieliły sklep na dwie części, i ze zdumieniem spostrzegła szereg sof i foteli oraz szafy wypełnione używanymi książkami.

- Halo? Pani Crawford? - zawołała, idąc w stronę małego biura na zapleczu. - Jest tu...

W tym momencie dostrzegła Maggie Crawford. Leżała na podłodze, obok przewróconego krzesła.

Patrząc na jej bladą twarz, Juliet przeraziła się, że kobieta nie żyje. W odruchu paniki miała ochotę rzucić się do ucieczki. Był tylko ktoś inny znalazł ciało i zajął się wszystkim.

Zaraz jednak upuściła trzymane w ręku rzeczy i pobiegła na pomoc.

- Pani Crawford? Czy pani mnie słyszy?

Starsza kobieta uniosła powieki. Wydawała się odrobinę zdziwiona.

- O, witaj, moja droga. Jesteś Juliet, prawda? Twoja mama wspomniała, że wpadniesz... - Głos miała słaby, ale przynajmniej mówiła rozumnie. - Boże, dlaczego ja leżę na podłodze?

- Nie! - Juliet zdecydowanie położyła rękę na ramieniu kobiety, gdy ta próbowała się podnieść. - Proszę się nie ruszać. Spadła pani z krzesła. - Wyciągnęła z kieszeni komórkę. Wybrała numer pogotowia, jednocześnie rozpinając płaszcz. Przekładając aparat z ręki do ręki, zsunęła płaszcz z ramion i przykryła leżącą kobietę.

- Chodzi o panią Crawford. Margaret Crawford. Księgarnia na Prior's Lane... - tłumaczyła dyspozytorowi.

- Mój Boże, ależ narobiłam zamieszania.

- Co pani opowiada! - Schowała telefon, przyklękła na podłodze i zaczęła rozcierać dłonie pani Crawford. - Pomoc jest już w drodze. Jak dawno to się stało?

- Nie wiem, kochanie. Chciałam zasłonić okno kawałkiem tektury - mówiła. - Próbowałam tam sięgnąć, gdy nagle zakręciło mi się w głowie, a potem...

- Cii...

- Nie rozumiesz. Nie mogę tak tego zostawić...

Kiedy Juliet uniosła głowę, spostrzegła, że jedna z szybek jest zbita tuż przy kłamce. Najwyraźniej ktoś próbował się tu włamać.

Włączyła mały elektryczny piecyk, żeby zneutralizować zimne powietrze wpadające przez okno. A potem starała się uspokoić zdenerwowaną kobietę.

- Proszę się nie martwić. Coś wymyślę, znajdę kogoś, kto to naprawi, gdy tylko... - przerwała, słysząc, że ktoś otwiera drzwi księgarni.

- Halo? Kto wzywał pogotowie?

- Tutaj! - Poczowała ulgę, że ktoś przejmie odpowiedzialność za starszą panią. Miała dość słabe pojęcie o zasadach udzielania pierwszej pomocy.

Co innego okno. Z tym umiała sobie poradzić. Albo przynajmniej znaleźć kogoś, kto zrobi to za

nią. Po drugiej stronie ulicy był sklep żelazny. Szyld nad drzwiami z dumą informował, że oferują towary i usługi w dawnym dobrym stylu.

- To chwilę potrwa, zanim ją zabierzecie, prawda? - zwróciła się do sanitariusza. - Muszę znaleźć kogoś, kto naprawi okno. Bardzo ją to dręczy...

- Może załatwi to pani później? Chcemy jeszcze zadać pani parę pytań.

- Ale... - zaczęła, lecz zaraz się powstrzymała. - Tak, oczywiście. - Podała swoje nazwisko i odpowiedziała na pytania.

Dzwonek nad drzwiami ponownie zabrzączał.

- W porządku, może pani iść do klienta. - Sanitariusz uśmiechnął się do niej.

Już chciała zaprotestować, że sama jest klientką, ale dała spokój. Trzeba po prostu wywiesić tabliczkę, że sklep jest czasowo zamknięty.

- Przepraszam - odezwała się do kobiety, która stała przy ladzie, szukając czegoś w torbie. - Obawiam się, że w tej chwili nikt nie będzie mógł pani obsłużyć...

- Nie trzeba mnie obsługiwać. Przyszłam odebrać książkę, którą zamówiłam. Już za nią zapłaciłam. - Na dowód wyciągnęła paragon. Widząc, że Juliet nie wie, o co chodzi, dodała: - Maggie zwykle

trzymają specjalne zamówienia na półce pod biurkiem.

- O, rzeczywiście. Czy to ta książka? - Wyciągnęła gruby historyczny romans w miękkiej oprawie. Najwyraźniej zamówiono ich więcej, bo na półce leżało jeszcze kilka identycznych egzemplarzy. - Chyba cieszy się dużym powodzeniem - zauważyła.

- W tym miesiącu nasz Klub Miłośników Romanсів wybrał tę pozycję. Maggie zawsze nam je sprowadza.

- Rozumiem. - Włożyła powieść do plastikowej torby. W bloczku leżącym obok telefonu zanotowała wydanie książki.

- Rozchorowała się, co? - Kobieta bynajmniej nie spieszyła się z wyjściem.

Nie było sensu zaprzeczać, tym bardziej że karetką wciąż stała przed sklepem.

- Przewróciła się.

- Fatalnie. - Klientka pokręciła głową. - Nie jest już młoda. Jeśli coś sobie złamała, pewno kolejny sklep na Prior's Lane zostanie zamknięty.

- Dlaczego?

- A kto to przejmie? Te małe sklepiki nie mogą konkurować z supermarketem. Oczywiście tam można znacznie taniej kupić bestsellery. -

Poklepała reklamówkę, w której leżał jej romans. – Jednak tej książki nie znajdę w dziale, gdzie sprzedają trzy książki w cenie dwóch.

– Chyba ma pani rację.

– Panno Howard, musimy już jechać. Za jakieś dwie godziny może pani zadzwonić do szpitala miejskiego. Udziela pani informacji o stanie pacjentki.

– Ale... – Nie dokończyła. Jej własne wątpliwości nie miały teraz znaczenia. – Maggie, czy chce pani, żebym kogoś zawiadomiła?

– Zajmiesz się oknem? – Maggie najwyraźniej nie mogła przestać o tym myśleć. – Ciągłe je wybijają...

– Mówienie sprawiało jej widoczne trudności, Juliet więc uznała, że nie będzie już dalej pytać. Ze znalezieniem szklarza nie powinno być kłopotu, a numer telefonu do rodziny Maggie na pewno znajdzie w biurze.

– Dopilnuję okna, a potem zamknę sklep i wpadnę do pani.

– Biedactwo – westchnęła klientka, patrząc, jak wnoszą Maggie do karetki. – Ma tylko jednego syna, a on jest gdzieś na Bliskim Wschodzie. No, muszę iść. Powodzenia.

– Ale... – Juliet uświadomiła sobie, że przez ostatnie pół godziny było to najczęściej używane przez

nią słowo. A przecież zwykle, gdy napotykała jakieś trudności, mówiła „nie ma problemu”.

Zła na siebie, że zachowuje się tak żałośnie, umieściła na drzwiach tabliczkę z napisem „zamknięte” i przesunęła zasuwę. Teraz pozostało znaleźć szklarza i kogoś, kto zajmie się sklepem, a potem pojechać do szpitala, aby zapewnić Maggie, że wszystko jest w porządku.

Tylko tyle. Bułka z masłem dla kogoś takiego jak ona. Opadła na stołek za ladą. Okno... Szklarz...

Wzięła się w garść i postarała się skupić na czekającym ją zadaniu. No tak, sklep żelazny.

Najpierw należało poszukać kluczy. Znalazła je w szufladzie biurka na zapleczu, ale idąc do drzwi, zmieniła nagle zdanie. Może lepiej będzie zadzwonić, na wypadek gdyby włamywacz, widząc, że zabierają Maggie, postanowił skorzystać z okazji.

Już sięgała po książkę telefoniczną, gdy nagle przyszło jej do głowy, że w takim razie powinna także zabezpieczyć kasę. Nie ma wyjścia, pomyślała. Wzięła pióro, po czym, pokpiwając w duchu z samej siebie, wyjęła z koszyka zeszyt i zabrała się do sporządzania listy.

- I co zamierzasz zrobić z tym składem?

Greg wyglądał przez brudne okno biura, zastanawiając się, co stało się z ludźmi, którzy kiedyś tu pracowali.

- To nie tylko skład. Umowa dotyczy także sklepu w starej części miasta.

- No to wspaniale. Niskie czynsze, wysokie koszty utrzymania - zakpił Neil. Widząc, że Greg zamierza odebrać telefon, który właśnie zaczął dzwonić, dodał: - Zostaw. Warsztat Duke'a już nie działa...

- Warsztat Duke'a - powiedział Greg do słuchawki.

- A w ogóle - ciągnął Neil zrezygnowanym tonem człowieka, który wie, że gada sam do siebie - jest pora lunchu.

- Och, dzięki Bogu! Dostałam pana numer w sklepie żelaznym na Prior's Lane, ale mieli poważne wątpliwości, czy jeszcze...

Greg, całkiem pochłonięty słuchaniem głosu, który tak miło brzmiał w telefonie, nie zwracał już uwagi na Neila. Niektóre dni nie są wcale takie złe, pomyślał, siadając na brzegu biurka.

- Czy jeszcze? - ponaglił swoją rozmówczynię.

- Pracujecie. - Gdy nie potwierdził ani nie zaprzeczył, mówiła dalej: - Najwidoczniej nie mieli racji. Na szczęście. - Nadal się nie odzywał, więc

dokończyła: - To nagły wypadek. Czy może mi pan pomóc?

- Niech pani próbuje - zaproponował.

W słuchawce zapadła cisza.

- No tak - podjęła po chwili. - Trzeba wymienić szybę w małym okienku. To bardzo pilne. Czy jest szansa, żeby przysłał pan tu kogoś jeszcze dzisiaj?

Niektóre dni są wręcz wspaniałe, uznał.

- O której?

- Im prędzej, tym lepiej. Jestem na Prior's Lane. W księgarni.

- Wiem, gdzie to jest. Jak się pani nazywa?

- Howard.

- Naprawdę? Nie brzmi pani jak jakiś Howard. Raczej jak Emma albo Sophie lub...

- Juliet Howard.

- Lub Juliet. - W jego głosie pojawiła się nuta niedowierzania. - Jaki jest pani numer, Juliet?

- Po co panu potrzebny mój numer?

- Niektórym wydaje się, że są szalenie dowcipni, gdy dzwonią z lipnymi wezwaniem. Dlatego oddzwaniem do klientów, żeby sprawdzić, czy wszystko się zgadza.

Widać uznała, że nie ma wyboru, bo po krótkim wahaniu podyktowała numer telefonu.

- Będę za dziesięć minut - powiedział.

- Naprawdę? - Najwyraźniej ogarnęły ją sprzeczne uczucia. Nie była pewna, czy ma się do tego odnieść z niedowierzaniem, czy z ulgą.

Neil pokręcił głową i wskazując na zegarek, bezgłośnie powtórzył: „lunch”.

Greg uśmiechnął się i równie bezszelestnie odpowiedział: „szwajcarska czekolada”. Po czym rzucił do słuchawki:

- Odpowiada to pani?

- Oczywiście, będę czekać - odparła.

- Głos ma słodki jak czekolada - mruknął niechętnie Neil, gdy Greg odłożył słuchawkę. - A do tego siwe włosy, dzianinowy bliźniak i perełki na szyi.

Greg wzruszył ramionami.

- W takim razie spełnię dobry uczynek. Jeżeli jednak nie masz racji...

- To co wtedy?

W jej głosie pojawiały się ostre nuty, ale w chwili gdy wyraziła powątpiewanie, wyczuł, jaka musi być krucha i delikatna. Zupełnie jak dobra czekolada, zanim zacznie rozplýwać się w ustach.

Nie mógł się temu oprzeć.

- Znasz mnie, Neil. Wierzę, że skoro szczęście mi sprzyja, należy to wykorzystać.

- Szczęście. Najpierw zwalasz nam na głowę nieziemsko drogi śmietnik, a zaraz potem

beztrosko rezygnujesz z lunchu, licząc na to, że buzia jakiejś panienki będzie równie ładna jak jej głos.

- Niedowiarek... - mruknął. - A poza tym to mój śmietnik, nie twój.

Odpowiedź Neila była krótka i niecenzuralna.

- No, dobra... Powiem ci tylko, że mój bardzo drogi plac będzie włączony do planów nowej zabudowy.

- Ty... - Neil zawahał się. - Duke o tym nie wiedział, prawda?

- Możesz być pewien, że ja go o tym nie poinformowałem. A teraz, ponieważ straciłeś szansę na zjedzenie lunchu na mój koszt, możesz wykorzystać wolny czas i zorientować się, co stało się z ludźmi, którzy tu pracowali. Jeśli są nadal bez pracy, zastanów się, jak moglibyśmy im pomóc.

- A niech go diabli! - Juliet ze złością wyłączyła komórkę i cisnęła ją na biurko. „Niech pani próbuje...” Co to za ton? Akurat teraz potrzebny jej spec od wszystkiego, któremu wydaje się, że każda kobieta tylko o nim marzy.

Z drugiej strony, nie powinna stroić fochów. Warsztat Duke'a był ostatnim zakładem na jej liście, a ten majster-klepka jedynym fachowcem,

który zgodził się przyjąć zlecenie. Na razie jednak nie mogła uznać tej sprawy za zakończoną. Mimo złożenia obietnicy ciągle jeszcze nie zadzwonił.

Poczuła, że zaczyna trząść się z zimna. Weszła do małej kuchenki, która mieściła się obok biura, napełniła czajnik i rozejrzała się za stoikiem z kawą. Właśnie sypała kawę do kubka, gdy usłyszała, że ktoś znowu dobija się do drzwi, najwyraźniej ignorując informację, że księgarnia jest nieczynna. Chociaż sklep był słabo ogrzany, niezbyt dobrze oświetlony i nie nęcił zapachem kawy, jakoś nie mógł narzekać na brak klientów.

Trudno było zgadnąć, czy dobijający się klient tak bardzo marzy o kupieniu książki, czy może tylko zżera go ciekawość, dlaczego przyjechało pogotowie. Juliet nie zamierzała się o to dopytywać.

I nagle, gdy już wlewała do kubka wrzątek, uświadomiła sobie, że mógł to być szklarz. Czyżby pojawił się całą minutę przed umówionym czasem?

Na wszelki wypadek poszła jednak sprawdzić.

Zanim dotarła do wejścia, ktokolwiek dobijał się do drzwi, zdążył już odejść. Zabierała się właśnie do otwierania zamka, żeby wyrzeć na zewnątrz, gdy pukanie rozległo się z tyłu sklepu. Drzwi na zapleczu nie były przeszklone, dlatego zawołała:

- Kto tam?

- Firma Błądny Rycerz. Specjalność zakładu: dziewice w potrzebie.

A niech to! Nie dość że miał wysokie mniemanie o swoim uroku, to w dodatku próbował być dowcipny. Dzięki Bogu, że powstrzymał się chociaż od powiedzenia „Romeo”, co zważywszy na jej imię, byłoby oczywiste. Kiedy otworzyła drzwi, stanęła naprzeciwko wysokiego mężczyzny o wzroście ponad metr osiemdziesiąt pięć, ubranego w wytartą skórzaną kurtkę lotniczą i džinsy, które opinały jego ciało jak druga skóra.

Gęste ciemne włosy były trochę za długie, uśmiech zbyt poufały, oczy zaś miały nieprawdopodobny odcień błękitu. Jednym słowem, niesamowicie męski typ. Pewny siebie i arogancki. Z tyłu dostrzegła motocykl, który idealnie pasował do tego wizerunku.

Gregor McLeod nie zmienił się ani trochę.

ROZDZIAŁ DRUGI

Juliet przez dłuższą chwilę nie mogła wydobyć głosu. Mam nadzieję, że mnie nie pamięta, modliła się w duchu.

- Dobrze trafiłem? - spytał w końcu, przerywając przedłużającą się ciszę. Jak to się stało, że nie rozpoznała jego głosu? Miękki, odrobinę chropawy i nieprzyzwoicie seksowny... - To księgarnia, prawda? Dzwoniła pani w sprawie wybitego okna? - Podniósł wzrok na okienko.

Wszystko w porządku, odetchnęła z ulgą. Nie było żadnego sygnału, że ją rozpoznaje.

Z tego, co wiedziała, nigdy nie poznał jej imienia. Zawsze nazywał ją księżniczką, przez co była bezlitośnie wyśmiewana. Oczywiście nigdy w jego obecności.

Była wówczas chudą trzynastolatką, ubraną w rzeczy ze sklepów z używaną odzieżą. Nosiła okulary w metalowej oprawie - na długo przed tym, nim za sprawą Harry'ego Pottera stały się modne - i staromodny warkocz. Jak cień snuła się po szkole, ukradkiem obserwując swojego bohatera.

Tyle że on w gruncie rzeczy wcale nie był bohaterem.

Prawdziwy bohater nie zniknąłby bez słowa z jej życia.

- Tak. - Wzięła się w końcu w garść, próbując zlekceważyć uczucie rozczarowania, że w pamięci mężczyzny, który kiedyś zrobił na niej takie oszałamiające wrażenie, nie zostawiła najmniejszego śladu. Zaczęła żałować, że nie zadbała trochę o wygląd. Mogła przecież zrobić choćby lekki makijaż. Uczesać się staranniej... - Tak, to księgarnia. Ale nie czekałam na błędnego rycerza - powiedziała, gdy wreszcie odzyskała głos. - Potrzebny mi szklarz albo ktokolwiek, kto potrafi wstawić szybę. - Wyszła na ścieżkę na tyłach sklepu i wskazała wybite okno. Pochyliła się i podniosła kawałek szkła, byle tylko nie patrzeć na Gregora.

- Zostaw. - Nachylił się nad nią i wyjął jej z ręki ostry odłamek. - Łatwo się skaleczyć - dodał, gdy podniosła na niego zdumione spojrzenie.

- No tak... Dziękuję. - Nie, wcale się nie zmienił. Był z pewnością bardziej masywny, ale nie tęgi, raczej muskularny. Zmarszczki w kącikach oczu dodawały charakteru jego młodzieńczej twarzy. Lecz to był wciąż ten sam Gregor McLeod. Miała przedziwne wrażenie, że oglądając swoją listę celów i pragnień, przywołała go z przeszłości.

- Zależy mi, żeby zostało to zrobione dzisiaj - powiedziała, podnosząc się i otrzepując palce z pyłu.

- Jeśli próbuje pani zasugerować, że nie pojawiłem się po obiecanych dziesięciu minutach - odparł, ignorując jej oschły ton - to sama jest pani sobie winna. Gdyby pofatygowała się pani do wejścia, kiedy zacząłem pukać, byłbym całe trzydzieści sekund wcześniej.

- Ach, więc to był pan? - Nie poprosiła go do środka, prawdę mówiąc, nawet nie zdawała sobie sprawy, że odsunęła się, żeby go przepuścić, lecz on już wszedł do biura, które nagle stało się dziwnie ciasne. Jego bliskość sprawiła, że zjeżyły jej się włosy na karku, a ciało pokryło gęsią skórą... - Myślałam...

- Myślała pani, że mówiąc dziesięć minut, wykazałem się nadmiernym optymizmem?

- Właśnie. - Zreflektowała się. To chyba nie była najmądrzejsza odpowiedź, dodała więc szybko: - To znaczy nie! Myślałam, że to klient.

- I zlekceważyła go pani? Nie chcę pani uczyć, jak dbać o interesy, ale w ten sposób nie sprzeda pani wielu książek.

- Ma pan całkowitą rację - odparła, siląc się na uprzejmość. - Tyle że ja nie sprzedaję książek.

- No tak, to wyjaśnia sprawę. - Najwyraźniej postanowił się rozgościć, bo uśmiechając się szeroko, przysiadł na brzegu biurka.

A niech to...

Niektórzy faceci nawet nie muszą się wysilać. Wystarczy, że spojrzą na kobietę i...

No cóż. Niepotrzebnie tracił czas.

- Spodziewałam się, że sprawdzi pan, czy jakaś nastolatka nie zrobiła głupiego kawału - powiedziała w końcu.

- Żadna nastolatka nie ma takiego głosu jak ty, księżniczko.

Zacisnęła zęby, starając się powstrzymać niezrozumiałe szczypanie oczu. Widać każdą poznaną kobietę nazywał księżniczką.

- Może pan się tym zająć? - spytała. Zabrzmiało to trochę za ostro, więc dokończyła: - Chciałabym wiedzieć, czy może pan to zrobić dzisiaj.

- Po to tu przyszedłem.

- No tak... Świetnie. Ile to potrwa?

- Zobaczymy... Wymierzę okno, pójdę przyciąć szybę, a później, gdy będę ją wstawiał, pani zrobi herbatę - z mlekiem i dwiema łyżeczkami cukru - i opowie mi historię swojego życia.

- Jak długo? - spokojnie powtórzyła pytanie.

Sprawiał wrażenie, jakby go to rozbawiło.

- Godzina powinna wystarczyć. Oczywiście to zależy, jak interesujące miała pani życie.

O rety! Cała godzina zalotnych pogaduszek.

- A ile kosztuje godzina pana pracy?

- Może mi pani postawić lunch i będziemy kwita.

I ten facet śmiał krytykować jej sposób prowadzenia interesów?

- Przyniosę stek od rzeźnika na rogu, w porządku? Mam nadzieję, że zje go pan na surowo?

Wyjął z kieszeni taśmę i zabrał się do mierzenia okna. Nawet nie musiał w tym celu wchodzić na krzesło.

- Wie pani - mówił, wciąż odwrócony do Juliet plecami - byłem umówiony na lunch. Właśnie wychodziłem, gdy pani zadzwoniła. Mogłem powiedzieć, że nie mam czasu.

- Więc czemu pan tego nie powiedział? - spytała.

- Wszyscy inni tak właśnie zrobili.

- Z pani głosu wynikało, że potrzebuje pani pomocy.

Nie zwiodło jej jego udawane współczucie.

- Bo tak jest. Jednak potrzebny mi szklarz, a nie towarzyskie pogawędki, więc może pan zaoszczędzić sporo czasu, rezygnując z herbaty i rozmowy o moim życiu. Niech pan zadzwoni do swojej

dziewczyny. – Stłumiła ukłucie zazdrości. – Jestem pewna, że zgodzi się poczekać pół godziny. W porządku?

– Pani by tak zrobiła? – Spojrzał na nią przez ramię. – To znaczy poczekała?

– Ja nie umówiłabym się z panem, więc taka sytuacja w ogóle nie miałaby miejsca – odparła, lekceważąc przyspieszony puls.

– Proszę to pytanie potraktować hipotetycznie.

Sama była sobie winna. Złamała generalną zasadę – nie zadawać się z żadnym mężczyzną, z którym się pracuje.

– Hipotetycznie? – powtórzyła.

Jej głos był lodowaty. Była uprzejma jak... księżniczka. A więc jednak potrafiła się opanować.

– No właśnie.

– A więc hipotetycznie. Gdybym zgodziła się zjeść z panem lunch, a pan zadzwoniłby z wyjaśnieniem, że ratuje dziewczę w potrzebie... – przerwała gwałtownie, czując, że dała się wciągnąć w pułapkę.

Na szczęście błędny rycerz zajęty był właśnie zapisywaniem wymiarów okna w notesie, który wyciągnął z kieszeni wełnianej koszuli. Jego zeszyt wyglądał dokładnie tak samo jak kołonoatnik, który leżał w koszyku na zakupy. Czarna

lakierowana okładka straciła połysk od wielokrotnego używania. Pewno jest ciągle ciepły od jego ciała, pomyślała. Pełen jego myśli...

- Byłabym zobowiązana, gdyby możliwie szybko skończył pan tę naprawę - dokończyła suchym tonem. - Zakładam, że ma pan jakieś życie prywatne.

- A pani?

Przez chwilę przyglądał się jej z namysłem. Doszła do wniosku, że znów niepotrzebnie się odezwała. Takie uwagi zachęcały go tylko do ciągnięcia towarzyskiej pogawędki.

- Widzi pani, lubię swoim klientom okazywać zainteresowanie - powiedział, gdy milczała. - Chcę ich dobrze poznać. Znaleźć nić porozumienia.

- Bardzo to chwalebne. - No, teraz wyszło lepiej. Taka chłodna rezerwa była całkiem na miejscu. - Obiecuję, że jeżeli kiedykolwiek będę potrzebować kogoś do wstawienia szyby, natychmiast pomyślę o warsztacie Duke'a.

- Sarkazm nie przystoi kobiecie, Juliet.

Sarkazm? Wcale nie zamierzała być sarkastyczna.

- Zanotuję to sobie - odparła - i powieszę kartkę w takim miejscu, żebym mogła ją codziennie odczytywać.

No, teraz przynajmniej zabrzmiało to ironicznie, pogratulowała sobie w duchu. W ciszy, która zapadła, gdy jej słowa zdawały się odbijać echem od ścian biura, dotarło do niej, że miała rację.

Szyderstwo w ustach kobiety faktycznie nie wydawało się pociągające. Jego jednak najwyraźniej wcale to nie odstraszało.

- Co się dzieje z Maggie Crawford? - zapytał. - Przejęła pani jej sklep?

- Nie.

- Pracuje pani u niej?

- Też nie.

- Szkoda. Przydałoby się tu trochę piękna.

Z tym mogła się zgodzić, choć nie zamierzała się do tego przyznać.

- Maggie dziś rano spadła z krzesła. Próbowала kawałkiem tektury zasłonić tę dziurę w oknie. Zabrano ją do szpitala.

- Bardzo mi przykro. - Prawie uwierzyła, że naprawdę tak myśli. - A co pani ma z tym wspólnego?

- Przyszłam tu odebrać książkę dla mamy i znalazłam Maggie na podłodze.

- I została pani, żeby dopilnować naprawy okna?
- Odwrócił się zdziwiony. - Robi to pani dla kogoś, kogo pani w ogóle nie zna?

- Bardzo się tym przejmowała. A poza tym znam ją, w każdym razie zna ją moja matka. Kiedy chodziłam do szkoły, bywałam tu dość często. Maggie pozwalała mi siadać na zapleczu i czytać książki, na które nie było nas stać.

- Rozumiem. Przepraszam. Pewno musi pani wracać do pracy.

- Nie, wszystko w porządku. Jestem w trakcie zmieniania pracy.

- Z tego, co rozumiem, w księgarni akurat zwolniło się miejsce. Przynajmniej na jakiś czas.

- Cóż, kiedy pani Crawford poczuje się lepiej, spytam, co chce z tym zrobić. A na razie muszę zadbać o to, żeby nie dostał się tu jakiś rabuś zainteresowany ciekawą edycją „Poradnika dla początkujących włamywaczy”.

Nie uśmiechnął się, jak oczekiwała, lecz spojrzał z namysłem na wybite okno.

- Mam wątpliwości, czy zrobił to ktoś, kto pragnął doszkolić się w forsowaniu zamków. Podejrzewam, że próbowali się włamać do apteki obok.

- Jakiś zdesperowany ćpun, który chciał dać sobie w żyłę? - Maggie mówiła, że wybijanie szyby ciągle się powtarza... - Świetnie! Od razu poczułam się bezpieczniej.

- Może pani powiesić kartkę - poradził. - Coś w stylu „Tu jest księgarnia. Proszę włąmywać się do sąsiadów...”.

- Aptekarz z pewnością będzie bardzo wdzięczny.

- Na pewno ma tam lepsze zabezpieczenia - odparł, kierując się do wyjścia. - Pojadę teraz po szybę. Może pani zorganizowałyby jakieś ciasteczka do herbaty, skoro na lunch nie mam już szans? Od śniadania minęło sporo czasu.

- To księgarnia, a nie sklep spożywczy... - Okazało się jednak, że mówi do siebie.

Sprawdziła, czy drzwi są zamknięte na klucz, wzięła kubek z zimną już kawą i zasiadła za biurkiem. Przekartkowała notes Maggie, bez powodzenia próbując znaleźć adres jej syna. Zajrzała do notatnika leżącego na blacie, ale tam również nie było żadnej informacji. Trudno, będzie musiała z tym poczekać aż do wizyty w szpitalu.

Spojrzała na zegarek i dopiero teraz uświadomiła sobie, że jej błędny rycerz dość dawno stąd wyszedł. Wspaniale! Pewno dostał ciekawszą ofertę. Albo uznał, że jednak woli zjeść lunch z dziewczyną. Nie powinna mu się dziwić, skoro była taka... sarkastyczna.

Westchnęła. Zupełnie niepotrzebnie pozwoliła, żeby jego uwagi tak ją rozdrażniły. Nie był winny

temu, że w dzieciństwie uznała go za swojego idola. No, może był, ale wyłącznie dlatego, że podniósł ją, gdy została popchnięta, postawił na nogi i pozbierał jej rzeczy. Wystarczyło, że raz jej pomógł, a szkolni chuligani trzymali się od niej z daleka przez kilka dobrych miesięcy. Zaczęli ją dręczyć ponownie, kiedy zniknął ze szkoły...

Wyrzała przez okno. Jeśli wkrótce nie wróci, będzie musiała stanąć na tym rozchwianym krześle i spróbować zatkać dziurę tekturą.

Tymczasem zadzwoniła do szpitala, podając się za krewną Maggie, lecz nie dowiedziała się nic więcej ponad to, że pani Crawford została przyjęta na oddział i czuje się lepiej.

Zrobiła sobie świeżą kawę, a ponieważ poczuła głód - chyba po raz pierwszy od wielu tygodni - odłamała kawałek bagietki i rozsmarowała na niej odrobinę sera.

Zdażyła wbić zęby w bułkę, gdy rozległo się donośne pukanie do drzwi na zapleczu. Pomna tego, że może mieć do czynienia z narkomanem na głodzie, nie otworzyła od razu.

- Kto tam? - wybąkała niewyraźnie, jako że usta miała wypełnione jedzeniem.

- Juliet?

- Pszeplaszam - mruknęła, wskazując na bułkę, którą trzymała w ręce. - Lunch...

- Dzięki - powiedział, wyjmując jej bagietkę z ręki. - Umieram z głodu. A już myślałem, że wrócił włamywacz i cię zakneblował.

W końcu udało jej się przełknąć kęs bułki.

- Czemu to tak długo trwało? - spytała już normalnym głosem.

Milczał przez chwilę, kończąc jej kanapkę, oblizał ubrudzony serem kciuk i odpowiedział spokojnie:

- Do tego okna łatwo się dostać, więc sprawdziłem w warsztacie, czy nie mamy jakiegoś lepszego zabezpieczenia. Przytrzymaj drzwi, żebym mógł wnieść rzeczy.

Rzeczy?

- Jakie rzeczy?

Nie odezwał się, tylko podszedł do odrapanej furgonetki, która na boku miała wymalowany napis „Warsztat Duke'a”. Otworzył tylne drzwi i podał Juliet pudełko, które - jeśli sądzić po etykiecie - zawierało alarm antywłamaniowy.

- Chwileczkę, panie... Rycerzu. - O, to jej się udało. - Czy może panie Błędny? - zapytała z niewinną miną.

- Nazywam się McLeod, skoro o to pytasz - powiedział. - Gregor McLeod - uzupełnił, gdy niezwykle długo milczała.

- Naprawdę? - odparła. - Widocznie poprzednio musiałam źle usłyszeć. - No więc, panie McLeod - podjęła po chwili. - Nie czuję się upoważniona, żeby w imieniu pani Crawford podejmować decyzje o takich wydatkach.

- Greg lub Mac - poprawił. - Wyłącznie ludzie, których nie lubię, zwracają się do mnie per „pan”. A kto mówi o jakichś wydatkach? Postawisz mi kolację i będziemy kwita.

Trzeba przyznać, że cennik ma dokładnie obmyślony, zakpiła w duchu. Jedna szyba miała cenę lunchu, alarm antywłamaniowy był wart kolację. Wolą nie pytać, ile kosztuje krata, którą właśnie wyjmował z furgonetki.

- Chociaż pewno będzie spokojniejsza, gdy dowie się, że jej sklep jest bezpieczny - uznała.

- Kolacja wyjdzie taniej - powiedział, wchodząc za nią do środka.

- Nie jestem zainteresowana, panie McLeod.

- Kobiety zwykle mówią do mnie Greg - wrócił do sprawy imienia. - Albo Gregor.

- Po imieniu mówię tylko do osób, które lubię - odrzekła. - Ale z przyjemnością opuszczę „pan”,

jeśli to pana razi. - Chcąc udowodnić, że nie miała na myśli nic osobistego, uśmiechnęła się i dodała: - Teraz zrobię ci herbatę, McLeod.

- Jesteś aniołem - powiedział, sięgając do wewnętrznej kieszeni kurtki. - Zdaje się jednak, że słusznie zrobiłem, przynosząc czekoladowe herbatniki.

Podał jej paczkę jeszcze ciepłą od jego ciała.

- Wspaniale - mruknęła bez entuzjazmu, trzymając ciastka w wyciągniętej ręce, jakby bała się, że gryzą. Była pewna, że gdy tylko otworzy opakowanie, czekolada pobrudzi jej palce, a ona nie będzie potrafiła oprzeć się pokusie, żeby ich nie oblizać.

Nie! Będzie musiał sam je otworzyć, jeśli ma na nie ochotę.

- Nie mam kosztownych wymagań - zapewnił.

- Zapamiętam to sobie. - Przerażona, że jej serce zupełnie jak dawniej reaguje na spojrzenie jego błękitnych oczu, dodała bezlitośnie: - O ile kiedyś będę chciała umówić się z kimś, kto nie jest zbyt wymagający.

Wyszła do kuchenki i napełniła czajnik wodą. Jej zdaniem dalsza rozmowa nie miała sensu, a w ogóle chciała, żeby Greg zabrał się do pracy. Oczywiście nie spodziewała się wcale łatwego

zwycięstwa. Zaskoczona i chyba także odrobinę rozczarowana, że nie odwzajemnił jej się jakąś szokującą uwagą, spojrzała przez ramię.

Zdjął kurtkę i właśnie ścigał koszulę, odsłaniając niesamowicie obcisły T-shirt. Tylko mężczyzna, który chce pokazać, że ma mięśnie jak Tarzan, może ubrać się w coś takiego, pomyślała. Albo facet, który nie umie nastawić właściwej temperatury w pralce. W obu przypadkach było to żałosne.

Kiedy wyciągnął rękę, mięśnie ramion napięły się, a koszulka podjechała do góry, odsłaniając kilka centymetrów ciała.

Zorientowała się, że wpatruje się w niego ze wstrzymanym oddechem. Szybko odwróciła wzrok, włączyła czajnik, po czym przeszła do sklepu i zajęła się porządkowaniem książek na stole z nowościami. Potem przejrzała pocztę, żeby sprawdzić, czy nie ma czegoś pilnego. Miała nadzieję, że te zajęcia pozwolą jej odzyskać równowagę po tym zaskakującym przypiływie niedorzecznej żądz.

Nigdy nie postępowała bezmyślnie, lecz musiała przyznać, że fizyczna atrakcyjność mężczyzny ubranego w opięte dżinsy i podkoszulek stanowiła ożywczą odmianę po biurowych uniformach.

- Zrób coś z tym czajnikiem! - Wołanie McLeoda przerwało jej rozmyślenia.

Z drugiej zaś strony, w uporządkowanym świecie biznesu nikt nie oczekiwałby, że będę parzyć herbatę, pomyślała.

- Tu przydałby się czajnik, który sam się wyłącza - rzucił Gregor, gdy wróciła do kuchenki. Nie zwracając na niego uwagi, wrzuciła do kubka torebkę herbaty i wlała wrzątek.

Ten czajnik powinien sam się wyłączyć. Widać jednak jego dobre dni również się skończyły. Jak tego sklepu. I całej ulicy.

- Pewno Maggie miała inne sprawy na głowie - odparła. Dodała do herbaty mleko oraz cukier i postawiła kubek na biurku.

- Kto zaopiekuje się tym wszystkim - włożył szybę do ramy i uszczelniał ją teraz kitem - podczas jej pobytu w szpitalu?

- Co? Nie mam pojęcia. - Z trudem oderwała oczy od jego zwinnych palców. - Może jej syn wróci i coś załatwi.

- Jimmy? Wątpię. Nie mógł się doczekać, żeby się stąd wyrwać.

- Znasz go?

- Chodziliśmy razem do szkoły. A ty?

- Czy chodziłam do tej samej szkoły, co ty i Jimmy Crawford? - spytała, udając, że nie zrozumiała pytania.

- Chyba żartujesz! - Roześmiał się. - Twój głos pasuje do kapeluszy panama, zakietów i zaszczytów, które wiążą się ze szkołą St. Mary. Lub inną podobną szkołą dla dziewcząt.

Pewno wiele wie na ten temat, pomyślała. Zakładając, że plotki, które krążyły po jego zniknięciu, były prawdziwe.

- Pytałem, czy znasz Jimmy'ego Crawforda - wyjaśnił.

- Ach, o to chodzi. Możliwe, że kiedyś widziałam go w księgarni, ale nigdy z nim nie rozmawiałam. Od wyjazdu na studia nie mieszkałam tutaj.

- A gdzie? W Londynie? - Jej milczenie uznał za odpowiedź twierdzącą. - A teraz wróciłaś do domu. Co to było? Rozpad małżeństwa?

Był nieugięty. Jeszcze pięć minut i rzeczywiście pozna historię jej życia.

Uratowało ją gwałtowne stukanie do drzwi sklepu.

- Chyba otworzę. Skoro i tak muszę tu tkwić, przynajmniej zrobię coś pożytecznego. Przepraszam.

Nie czekała, co na to powie. Nie miała pojęcia o handlu książkami, ale uznała, że będzie to mniej kłopotliwe niż rozmowa z Gregorem McLeodem.

Greg odprowadził ją wzrokiem. Bez wątplenia była kobietą z klasą. Nie tylko głos o tym świadczył. W pierwszej chwili doznał rozczarowania, gdy zobaczył jej twarz bez śladu makijażu i potargane włosy, które przypominały ptasie gniazdo. Ale potem schyliła się po kawałek szkła i gdy podniosła wzrok, miał wrażenie, że zna ją od dawna.

W jej srebrnoszarych oczach, w kosmyku włosów, który wysunął się spod spinki, było coś znajomego. Niewiele brakowało, by spytał, czy się już nie spotkali.

Na szczęście zdołał się powstrzymać. Swój brak zainteresowania okazywała mu w tak oczywisty sposób, że nie musiał wysilać wyobraźni, aby domyślić się, co mu na to odpowie.

Tytuł oryginału:
Her Wish-List Bridegroom
The Secret Life of Lady Gabriella
A Nanny for Keeps

Pierwsze wydanie:
Harlequin Mills & Boon Limited, 2006
Harlequin Mills & Boon Limited, 2007
Harlequin Mills & Boon Limited, 2005

Opracowanie graficzne okładki:
Kuba Magierowski

Redaktor prowadzący:
Małgorzata Pogoda

Korekta:
Barbara Burska

© 2004, 2005, 2007 by Liz Fielding
© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o.,
Warszawa 2006, 2007, 2009, 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-238-9992-1

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).